

mi Maria Szymanowska i Księżna Zofia Zamoyska. Muzyczne interludia w trakcie obrad prezentował wybitny pianista i muzykolog Jean-Pierre Armengaud.

Obrady kontynuowano 1 października w siedzibie Stacji Naukowej PAN, wspaniałym pałacu zakupionym przez rząd polski w 1946 roku. Seminarium rozpoczął Adam Galkowski (historyk, Uniwersytet Warszawski) wykładem o dziejach rodziny Wołowskich, z której wywodziła się Szymanowska, mówiąc o ich frankistowskim rodowodzie i emigrantach do Francji. Ewa Talma-Davous (polsko-francuski muzykolog) przedyskutowała historię przyjaźni Marii Szymanowskiej i Pierre Baillota, skrzypka i kompozytora francuskiego, ilustrując wykład nieznanymi dotychczas listami i fragmentami muzycznymi. Benjamin Vogel, ekspert od historii dawnych fortepianów, omawiał instrumenty, na których grała Szymanowska, m.in. na podstawie zachowanej ikonografii (portret Aleksandra Kolulara namalowany w Rzymie, z „niemożliwą” 7-oktawową klawiaturą), a także ksiąg fabrycznych firmy John Broadwood & Sons w Londynie, gdzie pianistka kupiła fortepian w 1826 roku. Jean-Pierre Armengaud wygłosił długi wykład o technice kompozytorskiej i pianistycznej Szymanowskiej, ilustrowany fragmentami wielu utworów. Armengaud skupił się między innymi na wpływie Szymanowskiej na twórczość Fryderyka Chopina. Elena Gretchnaia (prof. literatury, Akademia Nauk w Moskwie / Uniwersytet w Orleanie) omówiła rosyjski krąg Szymanowskiej na podstawie wpisów do jej sztambuchów przez poetów i pisarzy. Ja skupiłam się na własnym wizerunku estetycznym, intelektualnym i społecznym, jaki stworzyła Maria Szymanowska i jaki został utrwalony w serii jej portretów – ważnym źródle ikonograficznym. Jej eleganckie i skromne suknie, fryzury i nakrycia głowy, wzorowane były na stylu arystokratek polskich, francuskich, i rosyjskich, jak Księżne Golicyna i Zamoyska, czy cesarzowa Aleksandra Fiodorowna, żona Mikołaja I.



Całość obrad zamknął zaimprovizowany koncert – wieczór w salonie Marii Szymanowskiej, zainscenizowany i prowadzony przez organizatorkę sympozjum, Elżbietę Zapolską.

Uczestnicy seminarium wystąpili w charakterze muzyków, śpiewaków i recytatorów. Elżbieta Zapolska, Maria Rose i Florence Launay wykonały pieśni i utwory fortepianowe Szymanowskiej, Gail, Boieldieu i Fielda. Usłyszano balladę *Alpuhara* z odczytaniem tłumaczenia francuskiego oraz *Romans Desdemony* z *Otella* Szekspira, z tekstem oryginalnym i francuskim. Maria Rose deklamowała *Leidenschaft* Goethego po niemiecku, Benjamin Vogel wpis Mickiewicza do sztambucha pianistki po polsku, a niżej podpisana własne wiersze w języku angielskim, poświęcone Chopinowi (opublikowane w antologii *Chopin with Cherries* z 2010 roku), Mickiewiczowi (*Ode of the Lost*) i Szymanowskiej.

Pierwsze międzynarodowe seminarium poświęcone Marii Szymanowskiej przyniosło wiele nowych informacji na jej temat, w kontekście kultury polskiej, francuskiej i rosyjskiej pierwszej połowy XIX-tego wieku. Mówiono o muzyce, poezji, sztuce i historii genealogicznej rodziny, ale nie pominięto i historii mody – jak przystało na Paryż w trakcie październikowego Tygodnia Mody 2011.

MAJA TROCHIMCZYK



Czy to na niby?

To ciągle poczucie oddzielenia, braku zakorzenienia, które towarzyszy mi odkąd pamiętam. Kontakty z rówieśnikami podszyte zawsze tym samym tłem – ty, czyli inny. Inny, czyli kto? I widzę brak widoków na zmianę tego stanu rzeczy, gdy pół wieku życia mam już za sobą. I nie wiem, czy mnie to wywyższa, czy poniża. Chociaż obydwie te racje już dawno przestudowałem i wynika z nich, że być wywyższonym to w gruncie rzeczy ironiczna strona poniżenia, jeżeli za prawdę przyjąć wygnanie pierwszych Rodziców z Raju. Lecz w istocie nie o to tu chodzi. Może, gdy w młodości dostrzegając owo tło zależało mi na tym w sposób nieświadomy, to przyszedł czas takiej świadomości, kiedy poczucie władzy okazało się nie tym sposobem na życie na którym mi zależy. Ta zawsze niechęć do rywalizacji...

Czesław Miłosz w *Piesku przydrożnym*, w części *Tematy do odstąpienia*, w tekście *Klucz* pisze:

Jest jeden wielki temat, klucz, który otworzy wam skarbnicę waszych nieujawnionych i nie wyznaczonych nawet samemu sobie przeżyć. A tym są chwile, kiedy zostaliście w taki czy inny sposób poniżeni. Przypomnijcie sobie, przypomnijcie – te momenty, co tkwią w was jak ciernie, zaczynajcie pastwić się nad nimi i opisywać je szczegółowo. Nie wiadomo, czego się dokopiecie, ale będzie tego dużo, a w każdym razie ta nieco masochistyczna operacja przyniesie wam ulgę.

Słowa te skierowane do początkujących pisarzy są znaczące i dobre. Z pewnością wszystko się tu zgadza. Lecz owa ulga nie jest stała. Nie przynosi w istocie zamierzonego celu. Po chwili zadowolenia ponownie pojawia się niepokój,

irracjonalny lęk. Więc kopać należy dalej. I tak codziennie, aż wytryśnie ich źródło. Trzeba wierzyć, że to nastąpi.

Gdy pomyśleć, racjonalnie głupia to wiara, bowiem nigdy nie przynosi rezultatów. By trzeba się jej wyżyć. Zastąpić ją inną, *racjonalną prawdą o życiu*, które nie jest takie jakbyśmy sobie je wyśnili. Należy przybrać odpowiednią formę, zagłuszyć niepokoje i lęki, to nieustające poczucie winy takimi działaniami, które nas od nich uwolnią. Tylko nielicznym udaje się zachować spokój (*atakować tarczą*, jak mawiał nieodżałowany Zbigniew Jerzyński) i pomimo chimerycznego czasem zachowania wychodzić wciąż obronną ręką z faktu, że jesteśmy najwyższej jako gatunek *homo sapiens* w darwinowskiej drabinie ewolucji. A wygląda to tak, jakby ktoś pod nami wylał co najmniej jeden szczebel.

A zatem trzeba być na niby. Być *dyrektorem*, czyli wiedzieć wszystko najlepiej i z wewnętrzną niechęcią a z uśmiechem na twarzy przydawać racji podwładnym, gdy takie się pojawiają, myśląc zupełnie inaczej. *On* bowiem siłą rzeczy staje się operatorem światów wielu tak, by jego na niby było zgodne z powierzoną mu, choćby w życiu codziennym dla siebie, funkcją. To może nie być jego świat, bo ten zostawił „godząc się” na udawanie. Może wewnątrz się z nim nie zgadzać, lecz taką ma rolę. Albo też być *podwładnym*, sumiennie wykonywać polecenia starając się by to co jest do zrobienia było wykonane należycie i stąd, chcąc nie chcąc czerpać zadowolenie nie wgłębiając się zbytnio w ich charakter i sens. Tylko dbając o to, by jego własne na niby było antidotum na wewnętrzny niepokój i lęk, wieczne poczucie winy. Było pożądaną oazą spokoju i bezpieczeństwa.

To modelowe tu przedstawienie, aczkolwiek bardzo realne w gradacji zachowań ludzkich stało się pierwszą instancją świata na niby. Inaczej być nie mogło, gdy rezygnuje się z własnego ego, nie bacząc na konsekwencje. W pierwszym przypadku pojawia się samotność władzy, w drugim jej bliźniacza siostra. Obydwa końce tego samego kija tak samo bołą.

A ono, czyli nasze ego nie jest złe, gdy wytwarzać to sobie będziemy jak mantrę, bo tylko to nam pozostaje w obliczu wygnania, czy niewiedzy. Z czego to wnoszę? W pierwszym przypadku wszystko zaczęło się od buntu anioła, który nie chciał się podporządkować zamierzonej historii Boga. Jego wińmy, a siebie pozostawmy w spokoju. Tak, tak, to nie wystarczy. Obdarzyć kogoś winą. To nam uwłacza. A zatem, gdy odpuscimy winę wężowi za jego haniebną prowokację? Czy to wystarczy? Czy zdarzenie zniknie z naszego pola świadomości? Na pewno nie. Tak jak nie wyzbędziemy się przeświadczenia o prawdziwości darwinowskiej teorii ewolucji, gdzie *homo sapiens* dzieje się najwyższej, ale jakby pod nim szczeble wylałano.

Nauka i religia, te dwie równoległe, obok siebie stojące wieże, ba potężne gmachy, które zbudował człowiek w imię unieważnienia poczucia oddzielenia, braku zakorzenienia już dawno przestały pełnić swą pierwotną funkcję. Matematyka twierdzi, że dwie równoległe linie się nie spotykają, co najwyższej w nieskończoności. A ta nie jest naszym udziałem. Zatem każda

(Dokończenie na stronie 10)